

STANISŁAW STRZETELSKI

NA KTÓREM MIEJSCU?

Amerikanie lubują się w klasyfikowaniu wszystkich i wszystkiego. Robią to grzecznie i precyzyjnie, pragną ściśle i dokładnie wiedzieć na "którem miejscu" należy ustalić danego człowieka, grupę, wartość, a nawet ideę. Stąd wszelkiego rodzaju tabelę kolejności ocen i szacunków, stąd poważna stosunkowo różnorodność ankiet statystycznych w rodzaju "pollów" znanego Instytutu Gallupa.

Poza klasyfikowaniem wyczynów technicznych, sportowych, naukowych i artystycznych, klasyfikuje się w Ameryce również wartość społeczną i cywilizacyjną poszczególnych grup narodowych. Wiadomą i uznaną jest nazwa Anglosasi i Holendrzy, że później idą Szwedzi i Duńczycy, że pod względem gospodarczym i organizacyjnym wysokię miejsce zajmuje grupa niemiecka.

A Polacy? Przed 60-ciu laty Polacy stali blisko szarego końca tabeli, której dolny kres stanowiła i stanowiła masa murzyńska, odgraniczona od białych brązowym pasem mulatów i kreolów. Nędza, sklejona z polskim wychodźcą, wysoki procent analfabetów, wynikająca stąd trudność w nauce języka angielskiego zepchnęły początkowo polskich wychodźców na jeden z najniższych szczebli drabiny gospodarczo-społecznej. Proces wydobycia się z gęzkiego gruntu nędzy proletariackiej najpierw jednostek a później grup całych odbywał się stopniowo i powoli. Trwał całe lata. Wychodźcy anglosasów, irlandczy, skandynawscy a nawet czeszy przyjeżdżali z kapitałami, ze znajomością języka, albo ze stopniem wykształcenia, ułatwiającym szybkie nauczanie się angielskiego i z łatwością wchodzili w zasklepienie grupowania emigracyjnego.

Znaczna podaż wykwalifikowanej pracy, połączona z wysokim stopniem specjalizacji tworzyła na przełomie XIX i XX stulecia zapórę, zdawało się nie do pokonania dla polskiej masy wychodźczej w U. S. A. W opowiadaniach starych wychodźców jeszcze dziś przebiega nuta tragicznego patosu tego okresu, w których polski Balcer, oszalonej i bezbronnej, stawiał swe pierwsze kroki na gruncie amerykańskim. Surowe warunki walki o byt wdeptywały polskie ładunki okrętów emigracyjnych na dno eksploatowanej bezlitośnie taniej siły roboczej.

Przez długi czas było dla mnie nieodgadniętą zagadką, jak się to stało, że w okresie kilku dziesiątków lat polskie wychodźstwo w Ameryce zdołało wyprzedzić się z tych nizin i zająć wprawdzie nie jedno z naczelných ale bądź co bądź poczesne miejsce na drabinie społecznej w U. S. A. Bo, gdy przed 60-ciu lat przeciętny Amerykanin nie dostrzegał właściwie Polaków w bezimiennym narodowym masie proletariackiej, dziś nietylko przyjaciel, ale obiektywny przeciwnik nie odmówi Polonii Amerykańskiej słów uznania i szacunku.

Do rozwiązania zagadki tej metamorfozy pomógł mi przypadek. Zdarzyło mi się poznać pana F., właściciela polskiego zakładu tapicerskiego w jednym z miast w pobliżu New Yorku. Duży stosunkowo warsztat, trzy własne domy, rachunek w banku, starannie wychowane dzieci. Ponieważ wiedziałem, że p. F. przybył z Polski przed 30-tu laty a zakład ma już od lat 20-tu, zapytałem go, czy z Polski przyjechał już jako tapicer.

— Nie — odpowiedział — przyjechałem do Ameryki jako młody chłopak, wprost ze wsi lubelskiej bez żadnego fachu.

— Jakżeż więc pan doszedł do swego warsztatu?

— A no, łatwo nie było. Nie mając w ręku fachu i nie znając języka musiałem po

przyjeździe do Ameryki pracować jako nie wykwalifikowany robotnik przy rozbiórce domów, przy pracach ziemnych, przy nożeniu ciężarów. Gdy już mogłem porużnić się po angielsku, postanowiłem zostać tapicerem. Ale do jakiegobym fabryki poszedł, to mówią: "A doświadczenie masz, a do unji należysz?" Na praktykę nie przyjmują, do unji biorą tylko fachowców. Istna ślepa ulica! Cóż było robić? Nająłem się do jednego tapicera, do wypychania poduszek za płacę dwa razy niższą, niż mogłem zarobić przy rozbiórce domu. Ale byłem zadowolony bo mogłem z boku przyglądać się, jak oni to robią. I w każdej wolnej chwili notowałem sobie jak się to robi i skąd sprowadza się materiały. A wieczorami rysowałem. Po czterech tygodniach poszedłem do innego zakładu, także za bardzo niską cenę i tam dokładnie przyglądałem się innym robotom tapicerskim.

I tak pan F. głodował długie, długie miesiące, zmieniał sześć czy siedem razy posady, "podglądał z boku" pracował za psie pieniądze, aby wydrzeć starannie strażona tajemnicę fachu i specjalności. Mdlilo go często z głodu, zeszczę i zczerniał, czasami chciał już wracać do pracy niekwalifikowanej, która wprawdzie nie dawała żadnych perspektyw ale zapewniała "na dziś" jakieś takie życie...

Po roku nędzy, upokorzeń i 16-godzinnej na dzień pracy pan F. wygrał niewiele jak wojnę. Wojnę z bezlitośnym światem maszyn i specjalizacji. Wbrew unjom, wbrew zazdrośnym kolegom, wbrew fabrykantom nauczył się... Jeszcze dalszy rok pracy już w charakterze rzemieślnika wólkowej fabryki, rok dobrych zarobków, ale i półgłodu, bo większość "pejdy" trzeba było odkładać na założenie własnego warsztatu i pan F. stanął mocno na nogach.

To, co Szwed, Niemiec Irlandczyk i Czech przywożą ze sobą już z kraju albo bez większego trudu uzyskują na miejscu, to polski wychodźca zdobywać musiał za cenę niewiarogodnego wprost zaparcia się siebie, heroicznego oporu i wytrwałości. Bo pan F. nie jest jakimś odoobnionym wzorem pracowitości, wytrwałości i oszczędności. Losy jego są tylko klasycznym przykładem zwycięskiej walki, jaką stoczyła większość "pierwszych pokoleń" polskich w U. S. A.

Oczywiście, że w walce tej znakomicie pomogły wychodźcy polskiemu wielkie organizacje polskie oraz wysiłki polskiej szkoły, ale w rezultacie zdecydowała przedewszystkiem ze stali zbudowana wola i wytrwałość chłopca polskiego, te cechy, które nietylko w literackim frazesie, ale w rzeczywistości surowej i ciężkiej walki o byt dowodzą, że "chłop potęga jest i bosta!"

Tym uchodźcom polskim, którzy w Ameryce osiedli na roli było — rzecz jasna, łatwiej. Przywieźli ze sobą umiłowanie pracy i fachu. Jeśli jednak chodzi o "fach" — to tu trzeba było przestawić się z typowej gospodarki polskiej na wysoki stopień specjalizacji. I znowu za cenę jakżeż ciężkiego i niepowodzeń przeksztalca się wychodźca polski w "farmera". I to niebyłe jakiego! Kamieniste a jednak tak urodzajne dorzecze Connecticut było widownią trzydziestoletniego zacietęgo "pojedynku" między Yankeeami a Polakami. Yankee zmołgał żmudną pracą przy oczyszczaniu żyznej gleby z kamienia. Polacy wyżytkali to i wykupili ziemię. Po pracy jednego pokolenia dorzecze Connecticut stało się jednym z najrentowniejszych, a w znacznej części polskich okręgów rolniczych w U. S. A. W całym szeregu specjalności rolniczych (uprawa tytoniu, kartofli, cebuli) stoją polscy farmerzy na pierwszym miejscu a już bezapelacyjnie biją wszystkie inne grupy narodowe pod jednym względem: polski farmer ma rekord "przywiązania do roli", gdy inne grupy narodowe dały się w mniejszym lub większym stopniu porwać wciąż rosnącej fali ucieczki do miast.

Jeśliśmy mieli w odpowiedzi na postawione w tytule artykułu pytanie zbliżować "miejsce" polskiego wychodźstwa w tabeli wartości społecznych U. S. A. należy stwierdzić, że:

1) Wobec zupełnej nierówności szans przy starcie i szalonych "handicapów" z jakimi się musiały poradzić "pierwsze pokolenia" wychodźstwa polskiego, osiągnięte przez nich wyniki stawiają je na jedno z pierwszych miejsc w tabeli wartości moralno-społecznych.

2) Ta sama nierówność szans przy starcie uniemożliwiła Polonii Amerykańskiej zdobyć takiej siły gospodarczej, jakaby odpowiadała jej entom i wartościom społecznym.

Jakkolwiek polski robotnik, rzemieślnik i kupiec wybili się dziś już na poziom wyższy od poziomu naprzykład niektórych grup narodowych południowo-europejskich, to jednakże w masie ustępują oni jeszcze pod tym względem zdecydowanie Anglosasom, Skandynawom i Niemcom. By w tej dziedzinie osiągnąć dalsze sukcesy, trzeba było, aby heroiczna walka o prawo do życia dziadów i systematyczny a uparty trud ojców pozwolił wnukom na wyprodukowanie warstwy polskiej inteligencji i organizatorów życia gospodarczego. Ten proces w sensie masowym dopiero się zaczął ale postępuje niezwykle szybko.

Byłoby jednak błędem, gdybyśmy rozważania na temat "miejsca" polskiego w amerykańskiej tabeli wartości cywilizacyjnej ograniczyli do zagadnienia społeczno-gospodarczego i gospodarczego. Bo w kompie ocen obiektywnego obserwatora Polonii Amerykańskiej jest, obok uznania dla wysokich cnót społecznych, jeszcze jeden

motyw, motyw czasami entuzjastycznego, a czasami jak gdyby zakłopotanego — podziwu.

Zaczęło się to przed laty równo 25-ciu. W czasie pierwszej wojny światowej, w parę miesięcy po mobilizacji prasa amerykańska ujawniła rewelacyjne cyfry. Oto w armii amerykańskiej znalazło się — i to przeważnie w charakterze ochotników — 17% Polaków, gdy Polacy w U.S.A. stanowili niespełna 4% ogółu ludności. Owe 17% nie obejmowało, oczywiście, dziesiątek tysięcy Polaków amerykańskich, którzy zgłosili się do armii polskiej. Wymowa tych faktów, poparta nadzwyczajną odwagą i ofiarnością polsko-amerykańskiego żołnierza na polu bitwy, zaprezentowała Polonię amerykańską w nowym zupełnie świetle. Nie wybrane jednostki ale masa polska rzuciła bez wahania spokój i intratne "job-y" w przemyśle i dobrowolnie idzie do walki. Zjawisko to, które zresztą powtórzyło się w obecnej wojnie, przyjęte zostało początkowo przez opinię amerykańską jako piękny wyraz romantyzmu polskiego. Ale wychodźca polski w U. S. A. nie jest romantykiem. Jest prostru ofiarnym obywatelom i patriotą w najbardziej pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Porwy romantyczne zapalają się świetnym blaskiem entuzjazmu i później — gąsna. A ofiarny wysiłek krwi i trudu wojennego Polonii amerykańskiej był i jest tak równy, tak uparty, tak systematyczny, jak była ongiś walka o byt stożona przez pionierskie pokolenia polskich emigrantów.

I oto — nowa rewelacja. Polonia w sensie amerykańskim rzuciła uboga niż zamożna, stając w czasie obu wojen światowych na jedno z pierwszych miejsc w subskrypcjach pożyczek wojennych. Milijonerzy składają 10% czy 15% swych majątków, polski emigrant oddaje połowę a czasem wszystkie swe oszczędności, opodatkowuje się ponad wszelkie ustalone normy.

Oto, co w październiku 1943 pisze jedno z pism amerykańskich "Citizen" z Auburn: "A great many individuals and organizations are proud of what they have accomplished in this Third War Loan Campaign. Some of them have good reason to

boast; but all of them, before getting themselves out on a limb, should take note of what the relatively small Polish group in Auburn have done to support American and Allied armed forces at the front."

At 4 o'clock Sunday afternoon, Falcon Hall was opened for the sale of War Bonds. Promptly on the hour these men and women began lining up, and they kept coming until the doors closed. When the purchases were totaled, it was found that in this short time \$70,000 worth of bonds had been sold.

We can't help thinking that this performance demonstrates again a sober fact. Most of us, unless we have a close relative in active service, don't actually "feel" this war. We perceive it with our minds but not with our hearts. But our people of Polish descent know only too well what the conflict means.

They have heard what has happened to their kinsmen back home, or maybe they haven't heard — which is almost as bad, maybe worse. The war is very real to them. It is oppression, and persecution; and loss of every personal freedom. It is physical torture and anguish, the breaking of family ties, the obliterating of a nation as a governmental entity. That is why the Poles in Auburn and elsewhere step up and buy War bonds in amounts which put to shame some long-term Americans. That is why the Poles have supported their own relief programs independently and with comparatively little assistance from outside their group. But it should be apparent to every American, whatsoever his origin, that it is as important to prevent the ravages and enslavements of war here and in the countries of the other United Nations as to seek to recover what has been lost to the aggressors.

Ask not for whom the bell tolls. It tolls for thee."

Głosy takie, jak powyższe, a było ich w prasie amerykańskiej wiele, dają wyraźną odpowiedź na pytanie postawione w tytule artykułu. W rubryce ofiarności patriotycznej amerykańskie "polle" przynajmniej polskiej grupie narodowej miejsce A-1.



Z pięknej Warszawy

JAN LECHOŃ

B-MOL

Wieje między aleje wiatr listopadowy,
Zawiewa śnieg, co zimnem do głębi przenika.
Ach! Ileż mi to razy już przyszło do głowy,
Że to jest właśnie polska prawdziwa muzyka.

I czuję was jak wczoraj, o powiewie wiatru,
Widzę płomień czerwony i trójnog ozdoby,
I słyszę jak z balkonu Wielkiego Teatru
Orkiestra gra powoli polski marsz żałobny.

I jego ton ostatni przypominam sobie,
Ten akord przeraźliwy, co chwilę wyraża,
Gdy wszyscy się powoli rozchodzą z cmentarza
I tylko jeden człowiek zostaje przy grobie.

WŁADYSŁAW M. BESTERMAN

ULICA WIEJSKA

ZE WSPOMNIENI DZIENNIKARZA WARSZAWSKIEGO

Już pierwsi z tych, którzy opuścili Warszawę po oblężeniu i zajęciu jej przez Niemców, przynieśli do Paryża wiadomość, że w podziemiach gmachu Sejmu, na ulicy Wiejskiej jest katownia Gestapo, że na Wiejską zwożą samochody policyjne aresztowanych, że do podziemi Sejmu zawieziono prawdopodobnie Starzyńskiego i Niedziałkowskiego. A w ogrodach sejmowych — rozstrzelują. Zanim urządzili miejsce kaźni w Palmirach. Pod sejmowymi kasztanami, które tyle widziały i tyle słyszały, padają przesyte kulami ofiary Gestapo. Krew ich wsiąka w trawniki, niekiedy spadające malowniczo warszawską skarpą ku Wiśle, ku Solcowi, skąd w górę patrząc widać było pomiędzy drzewami żelazne kolumny wspierające stary gmach sejmowy, dawny Instytut Maryjski.

Każda ulica warszawska ma swoje oblicze, jak każda ma swoją historię. Niema w Warszawie ulic podobnych do siebie. Ulice Warszawy są indywidualne. Są bogate i biedne, dumne i skromne, szare i barwne. Jakież jest podobieństwo pomiędzy Kruca i Wierzbowa, albo pomiędzy Bonifraterską i Piękną, a nawet pomiędzy Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem? Każda inna, każda własnym żyła życiem w Warszawie przedrozbiorowej. W Warszawie pod zaborem i w Warszawie, stolicy niepodległej Rzeczypospolitej.

W okresie szczęśliwych ostatnich lat dwudziestu ulica Mazowiecka żyła naprzekąd kawiarnią Ziemiańska i Mortkowiczem, ulica Wierzbowa — Ministerstwem Spraw Zagranicznych i Hotelem Angielskim, Rymska — Skarbem, Krakowskie — Zamkiem, Uniwersytetem, Gebelthnerem i Wolffem, Karmelitami, Mickiewiczem, Wzytkami. — nie wliczając wszystkich. Krakowskie miało szczególnie życie bogate.

A Wiejska? — bo nawet przeważnie o-puszczano "ulica" — Wiejska żyła Sejmem. Skośnie biegła, krótka właściwie, łączyła plac Trzech Krzyży ze spadającym w stronę Agrykoli przedłużeniem ulicy Pięknej. Bodaj że nie miała życia własnego przed odrodzeniem Niepodległej i Najjaśniejszej. Domy niewysokie, dwu-trzy piętrowe i wjazd do Frascati, do pałacu Lubomirskich, późniejszej ambasady francuskiej. Za Frascati — jednopiętrowy budynek w obszernym parku, łagodnie spadającym ku ulicy Solc. Budynek bardzo brzydki. W stylu? Nie wiem, nie wiedziałbym, że to jakiś "early american", może "georgian", czy bodaj "colonial" z kolumnkami, wspierającymi daszek ganek i schodkami, prowadzącymi do za wysokich w stosunku do gmachu drzwi wejściowych.

Dom stał ukosem do ulicy. Nigdy nikt nie wiedział dlaczego. Cisnęły się doń najróżniejsze przybudówki, równie jak on jednopiętrowe i bezładnie znikły wśród gęsto rosnących, wspaniałych kasztanów. Wąski front domu patrzył przez żelazne sztachety na ulicę Wiejską a tył wypinał się na Solc. Długi korpus szedł osią ogrodu, wyraźnie w dół.

W gmachu mieścił się "Marijski Instytut dla Błagorodnych Dzieci" czyli szkoła-pensjonat dla "dobrze urodzonych" córek rosyjskich wyższych wojskowych i urzędników. Pół-klasator a pół-pensja. Umundurowane panienki podlegały bardzo surowemu rygorowi a parę razy do roku tańcowały w wielkiej "sali aktowej" Instytutu z równie jak one dobrze narodzonej kadetami carskich szkół wojskowych.

W połowie długiej stodoły gmachu centralnego wznosiła się cebulasta kopuła, bardzo prawosławnie zdobiona całości instytutowych zabudowań. Pod nią mieściła się kaplica pańienek. Centralny punkt gmachu.

Panieni wyrosły się z Warszawy razem z carskim wojskiem i czynownikami w lipcu i w sierpniu 1915 roku a w styczniu 1919-go roku do gmachu Instytutu, do "sali aktowej", do dormitorów dobrze urodzonych pańienek, do ogrodu w którym odbywały spacery pod okiem wychowawczyń, zwanych wdzięcznie "klassnaja dama" i do sali, w której tańczyły z kadetami — na ulicę Wiejską wkroczyła Polska w majestacie swego pierwszego Sejmu Odrodzonej Rzeczypospolitej wybranego w wolnych, równych, bezpośrednich, tajnych i proporcjonalnych wyborach. Bo Piłsudski — "dyktator" — pierwszym zarządzeniem po objęciu władzy w Polsce w listopadzie 1918 roku zarządził takie właśnie najskrupulatniej pięcioprzymiotnikowe wybory i to już na — jeżeli mnie pamięć nie myli — druga połowę stycznia 1919 roku.

Mała i raczej wąska uliczka, wiodąca z majestatem Alei Ujazdowskich na Wiejską, wychodząca wprost niemal na bramę sejmową, nazywała się za czasów carskich, właśnie na cześć Instytutu — ulicą Instytutową. Nazwę zmieniono na — Matejki. Łózka wieszono z sal, w których zapóźnionych posłów przez długie wietrzony hawły jeszcze sny dzwizdze i wstawiono stoły i biurka. W "sali aktowej" ustawiono ławy drewniane i skromne pulpity, przyszy instrument obstrukcji parlamentarnej (pamiętacie w sprawozdaniach sejmowych — "bicie w pulpity"?). Kaplicę prawosławna uprzątnięto i powstał na jej miejsce "centralny kulaar", z którego szło się do laboratorium parlamentarnego — do bufetu. W bok, na prawo wielkie drzwi wiodły do sanktuarium biblioteki sejmowej, którą tworzył, pilnował, rozwijał i na najwyższym poziomie przez lat dwadzieścia stawał arcybibliote-

karz i arcy-polityk, dr. Henryk Kołodziej-ski.

I ulica Wiejska zaczęła żyć własnym, indywidualnym życiem. Patrzyła na piszącą się historię i sama ją pisała. Widziała doróżki i powozy pierwszych dygnitarzy jadących na otwarcie Sejmu, widziała, jak kroczył, przechadzając się dla zdrowia majestacyjny Wojciech Trampczyński, pierwszy Sejm marszałek. Widziała wszystkich innych, wielkich i małych, ważnych i nieznanych, "krzykaczy" i "pracujących w komisjach".

Po ulicy Wiejskiej chodziła cała Polska i na ulicy Wiejskiej odbywał się najpiękniejszy tych dwudziestu lat proces jednoczenia się Polski trzech zaborów Trzech kultur? Nie, jednej i tej samej.

Na drewnianej, wysokiej trybunie marszałkowskiej w dawnej "aktowej sali" siedzieli ciężki, nieugięty, twardy Trampczyński, a potem wspaniały, jak topola smukły, porywający, o najpiękniejszej chyb, po Dużyńskim, dykci — Maciej Rataj. Na wysoko pod sufitem uceponiej żelaznej galerii, z której niedawno rozważone mamy lornetkowały córki w ramionach urękawiczonych kadekików — siedzieli prasa.

Właściwie nie wycię ani na Wiejskiej ani w gmachu o żelaznych kolumnkach nie przerabiano. W tym zgłgu, gdzie stapiła się na nowo polska myśl polityczna, stały wielkie, o sufit wsparte, białe, kafłowe piece. Nawet "centralnego ogrzewania" nie założono.

Ale to nie znaczyło. W bardzo niewspaniałym gmachu, na cichej, skośnie w stosunku do wszystkich warszawskich arterii biegnącej ulicy formowała się nowoczesna, parlamentarna Polska. W sali posiedzeń i w klubach poselskich, a najwięcej w klubie dziennikarskim, w bufecie, w biednym, tanim, czerwonymi chodnikami wyłożonych kulaarach stapiła się ci z wieńskiemu parlamentu i ci z berlińskiego "Reichstagu" i z petersburskiej "Dumy" i z lwowskiego "krajowego" sejmu i ci, co z pod ziemi wyszli, z bojówki P. P. S. i z P. O. W. i z Legionów i od Dowbora i od Hallera i nowi — ludzie, którzy na ulicy Wiejskiej przynieśli wieś Stojałowski-go, Stapińskiego, Witosza.

A ulica Wiejska przyglądała się tym, co szli na posiedzenia Sejmu w czarnych surdutach i tym, co kroczyli piechotą od stacji z tobołkiem pod pachą — (w tobołku przeważnie były serki i zapas chleba, bo to wiadomo, co tam w tej Warszawie dostanie...) — w wysokich butach i bez krawatów, w sukmanach, często-gęsto w czapkach z pawiem piórem, albo zgoła w góralskich białych portkach cyfrowanych (jak pan poseł Rój, naprzykład). Albo jadących dorożką, jednokonna zawsze — z nieznanym względów — w pięciu w jednej, posłom-rabinom, otoczonym młodzieżą długopółą, których niektórzy z przechodzących Wiejską dziennikarzy zwali "cykownikami" inni "kozakami", inni wreszcie "emoczekwiczami" id od wydawanych ustami dźwięków ku uczczeniu ważniejszych oświadczeń szefa.

Albo oglądała Wiejska "hrabiów galicyjskich" z Klubu Pracy Konstytucyjnej, również grupami, z krakowskiego pociągu, zajeżdżających pod gmach jedną z sześciu kursujących wówczas po Warszawie taksówek pana Makowskiego.

Senatu jeszcze nie było. Później zaś gdy go w 1922 roku wybrano, nie było dlań pomieszczenia w Maryjskim Instytucie i na drewnianej trybunie siedział przed południem Maciej Rataj, prowadząc posiedzenia Sejmu a po południu — Wojciech Trampczyński, który łaskę pierwszego Sejmu zamienił na łaskę pierwszego Senatu.

Z sercem bólem ścisniętym patrzyła Wiejska, jak powozem umazany błotem i śniegiem jechał pierwszy Prezydent Niepodległej, Gabriel Narutowicz. Jechał składać przysięgę konstytucyjną. Twarz miał białą i płaszcz, pokryty grudkami śniegu i błota, którym rzucały weń młode, "narodowe" ręce.

Słyszała strzały karabinów maszynowych, które major Ryk ustawił pod kasztanami, w ogrodzie sejmowym: w majową noc 1926 roku. Dziwiła się, czemu staromodna limuzyna, pierwszy urzędowy pojazd marszałka Sejmu, nocą jedździ pomiędzy liniami ognia, czemu ogień milnik na widok limuzyny i siedzącego w niej bardzo bladego, chudego pana o czarnej czuprynie, gorejących oczach i zacziśniętych ustach. Nie wiedziała, że Rataj jedździ pomiędzy Belwederem i Komendą Miasta. Zorientowała się dopiero, że coś się zmieniło, kiedy rząd Kazimierza Bartla przyjechał przysięgę złożyc na ulicę właśnie Wiejską, do "urzędującego Prezydenta" Macieja Rataja.

Pamiętała, kiedy otoczono ją kordonami w przedostatnim dniu maja tegoż roku i kiedy szedł przez nią, rozpychając jej domy rozszalały tłum, krzyczący z radości, bo Józefa Piłsudskiego wybrało Zgromadzenie Narodowe Prezydentem i dziwiła się bardzo, kiedy po trzech dniach znów jechał sznur dorożek i samochodów, wiozących uczestników Zgromadzenia Narodowego na nowy wybór, Profesora Ignacego Mościckiego.

Okazało się jednak, że Maryjski Instytut jest za mały i zaczęto do starego gmachu dobudowywać nowe. A więc najprzód, jakoś niezgrabnie wykrecono bokiem do ulicy Wiejskiej stanął sejmowy hotel, gdzie pomieszcili się posłowie i senatorowie,



MARJA WERTEN

O PROPAGANDZIE SZTUKI
POLSKIEJ W AMERYCE

W numerze 18-ym Tygodnika Polskiego pani Nieczyża zrobiła zarzut, że sztuka ludowa w propagandzie polskiej jest za silnie akcentowana i często daje fałszywy obraz naszego współczesnego życia kulturalnego. Czy zarzut ten jest słuszny?

Polska sztuka ludowa swą oryginalnością i wysokim poziomem artystycznym budzi zawsze żywe zainteresowanie zarówno znawców jak i szerszej publiczności i dlatego rolę jej w całokształcie propagandy polskiej zastępuje na omówienie.

Ponieważ powodzenie propagandy zależy nie tylko od wartości posiadanego materiału i umiejętności przedstawiania go, ale, i to w znacznym stopniu, od znajomości zainteresowań i psychologii tych, wśród których się działa — chcę mówić tylko o terenie, który jest mi dobrze znany: o propagandzie sztuki w Ameryce.

W czasach obecných sztuka ludowa, jako współczesna forma i w znacznym stopniu pozostałość sztuki prymitywnej, reprezentuje ściśle ograniczony odcinek życia ludu wiejskiego. Nie będąc w zależności od bieżących prądów sztuki profesjonalnej, nie daje cudzoziemcowi żadnego pojęcia o współczesnej kulturze artystycznej danego kraju. To też wielkie nawet uznanie dla tej sztuki, jako takiej, jest niewystarczającym rezultatem, jeżeli o najmniejszą propagandę kultury polskiej idzie; gdyż nie sama wartość artystyczna tej sztuki ale jednocześnie rola, jaką kultura polska potrafiła jej wyznaczyć — jest chlubą. Stosunek do sztuki ludowej, miejsce jakie zajmuje ona w całokształcie życia narodowego, wpływ, jaki obok ogólnowiatowych prądów w nią w kształtowaniu się polskiej twórczości oraz rola jej w wypracowaniu własnych metod nauczania sztuki — istnieć mogły tylko w kraju o wysokiej, starej i oryginalnej kulturze, o rzutkiej i samodzielnej myśli twórczej.

"Każdy naród przychodzi inną drogą do uczestnictwa w sztuce" pisze Norwid "ile razy przychodzi taż sama, co i inni, to nie on do sztuki ale ona doń przychodzi i jest rośliną egzotyczną".

W Polsce, jak w każdym innym kraju, mamy przedstawicieli wszystkich niemal kierunków ogólnowiatowych — ale mamy też to, co jest polskiem "uczestnictwem w sztuce", mamy polskie podejście do podstawowych zagadnień twórczości, mamy to, o czym marzył Norwid, gdy pragnął w "Promethidionie": "żeby się polski duch raz wytlumaczył".

Punktem wyjścia dla polskiej koncepcji, na tle ogólnowiatowych prądów — jest sztuka ludowa. Zaczynając od twórczości ludowej, możemy pokazać w naszej sztuce wspólną ideę wyrażoną we wszystkich działach sztuki i w metodach wychowania artystycznego; możemy pokazać jak, począwszy od Norwida, zgodnie z duchem czasu, ale idąc własnymi drogami poprzez różnorodne błędy, doświadczenia i zdobycze: Witkiewicza, Wyspiańskiego, Towarzystwa Polska Sztuka Słowna, Warsztatów Krakowskich, Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, Szkoły Zakopiańskiej — rozwijał się stosunek do sztuki ludowej, dojrzewając w określonej koncepcji, sprzyjanej na pierwszym wszechpolskim zjeździe artystycznym w Warszawie w r. 1922, jako wytyczne życia artystycznego niepodległej Polski.

Historia tej koncepcji, najważniejsze etapy jej rozwoju, chociaż, niestety, nieopracowane dotąd, należą do najciekawszych kart historii sztuki polskiej i powinny być jaknajbardziej akcentowane wszędzie, gdzie znaleźć mogą właściwe zrozumienie. Niema wdzienniejszego terenu dla takiej propagandy niż Stany Zjednoczone. Pomimo wielkiego kultu dla modernizmu francuskiego, różnorodne zainteresowania inteligencji amerykańskiej umożliwiają taką propagandę na szeroka skalę. Zarówno liczne kółka tych, którzy bardziej niż w jakimkolwiek innym kraju interesują się sztuką ludową i wszystkimi, związanymi z nią zagadnieniami, jak ci, którzy omawiając węższe jeszcze aktualny tutaj problem, "Progressive Education", szukają w dziedzinie sztuki nowych metod jej nauczania, jak wreszcie ci, którzy w Art Appreciation starają się w coraz szerszym stopniu zaznajomić inteligencję amerykańską z podstawami, bodźcami i procesem tworzenia (to ostatnie przybrało popularną dziś w Ameryce formę: Art in Action t. j. pokaz pracujących artysty) — znajdują w takim ujęciu sztuki polskiej materiał, którym posiąkować się mogą w ramach swej pracy, mówiąc o nas i za nas, co jest najmożliwszym rodzajem propagandy.

W zastawianiu do wystaw, Warchołowski był pierwszym, który w r. 1925 na międzynarodowej wystawie sztuki dekoracyjnej w Paryżu, uwzględnił tylko ten punkt widzenia, zdobywając dla pawilonu polskiego bezkonkurencyjne uznanie w Europie. Ten charakterystyczny polski ton sztuki naszej nie zawiódł w Ameryce. W r. 1933 przywołałam pod egidą International School of Art (dyrektorka Miss Elma Pratt) wystawę polską, która obejmowała wszystkie działy sztuki oprócz mebli i rzeź-

by monumentalnej. Dobierając eksponaty, starałam się w jaknajbardziej przejrzysty sposób pokazać stosunek naszej sztuki ludowej do współczesnej i do szkolnictwa artystycznego, biorąc także różne formy tego zagadnienia jako temat większości moich odczytów. Przy urządzaniu pierwszej z amerykańskich wystaw, w Muzeum w Brooklynie, dyrektor dr. Youtz powiedział do mnie: "Ta wystawa jest dla mnie wielką niespodzianką. Gdyśmy z Miss Pratt omawiali jej sprawozdanie, myślałem sobie: Polska nie Polska, zawsze będzie Paryż. Widzę z podziwem teraz, że Polska ma własne oblicze w sztuce." Podobne uwagi słyszałam wielokrotnie w czasie moich trzytygodniowych podróży z tą wystawą po muzeach amerykańskich. Najciekawszą bez wątpienia była dla mnie reakcja jednego z największych współczesnych Amerykanów, ojca i prawie symbolu amerykańskiego modernizmu: architekta Frank Lloyd Wright'a. W czasie mego pobytu z wystawą w Madison, Wis., byłam zaproszona do jego, jedynej w swoim rodzaju, rezydencji w Tellesin. Wright zaproponował mi wtedy, bym przywołała jakąś część wystawy i wygłosiła odczyt dla licznej kolonii jego studentów, współpracowników i gości, którzy mieli się zjechać na Boże Narodzenie. "Napewno nie miała pani nigdy i nigdzie wdzienniejszego widów i słuchaczy" zakończył Wright swą propozycję. Była to niezwykła okazja, by móżd w tak dobranym gronie, w tak nieoficjalny sposób pokazać tę wystawę, obserwować wrażenie, słysząc komentarze. Ale jednocześnie przeżywałam uczucie wielkiego niepokoju: nigdy jeszcze nie stawałam przed surowym sędzią. Wright jest nie tylko genialnym artystą, ale, o czym wiedziałam już wtedy, bezwzględny krytykiem, który wyszydza bezlitośnie wszystko, co nie zdobywa jego uznania; a zdarza się to niezmiernie rzadko.

Jednakże i w Tellesinie, tej twierdzy najwyższego poziomu modernizmu amerykańskiego, wystawa ta świeciła wielki triumf. W ciągu kilkunastu lat pracy wśród Amerykanów, pedagogicznej i propagandowej — miałam możliwość działania nie tylko normalnymi drogami: przez wystawy, odczyty i artykuły — ale próbować mogłam wszelkich, zupełnie nieoficjalnych dróg na niezliczonych piknikach, przyjęciach wśród rozmaitych grup i organizacji. Przedewszystkiem mogłam m. st. wysyłać do amerykańskich artystów S. S. A. wysyłała do Polski, pokazać w samej Polsce życie i tak różnorodne przejawy naszego życia artystycznego: upajającą ludową barwność i rytym na weselach, jarmarkach, zabawach i w kościele, twórczość ludową, nie tylko w muzeach, ale "in action", gdy góral na ich oczach, bez żadnego poprzedniego rysunku, wycezarowywał w hafcie kunstowatą kompozycję podhalańskiej parzenicy — gdy Łowiczanka wielkimi nożycami cięła subtelne arabeski wystrzygane, — a Huculka uczyła ich tajemnie pisanekowych wzorów.

Alle jednocześnie pokazać mogłam, jakie nici łączą tę sztukę naszego ludu z taką różną we wnętrzu sztuką współczesną. W pracowniach Zakopiańskiej Szkoły Drzewnej mieli Amerykanie najbardziej przekonujący obraz polskiego podejścia do zagadnień twórczości: zobaczyli mogli, jak się łączyła ta sztuka z sztuką naszego ludu z taką różną we wnętrzu sztuką współczesną. W pracowniach Zakopiańskiej Szkoły Drzewnej mieli Amerykanie najbardziej przekonujący obraz polskiego podejścia do zagadnień twórczości: zobaczyli mogli, jak się łączyła ta sztuka z sztuką naszego ludu z taką różną we wnętrzu sztuką współczesną.

Alle jednocześnie pokazać mogłam, jakie nici łączą tę sztukę naszego ludu z taką różną we wnętrzu sztuką współczesną. W pracowniach Zakopiańskiej Szkoły Drzewnej mieli Amerykanie najbardziej przekonujący obraz polskiego podejścia do zagadnień twórczości: zobaczyli mogli, jak się łączyła ta sztuka z sztuką naszego ludu z taką różną we wnętrzu sztuką współczesną.

Alle jednocześnie pokazać mogłam, jakie nici łączą tę sztukę naszego ludu z taką różną we wnętrzu sztuką współczesną. W pracowniach Zakopiańskiej Szkoły Drzewnej mieli Amerykanie najbardziej przekonujący obraz polskiego podejścia do zagadnień twórczości: zobaczyli mogli, jak się łączyła ta sztuka z sztuką naszego ludu z taką różną we wnętrzu sztuką współczesną.

Każda propaganda powinna do możliwego stopnia być utrwalaona w odpowiedniej książce. Ale czy można książką obudzić takie zrozumienie i uznanie, nie tylko dla talentów naszych artystów lecz dla naszej kultury artystycznej, takie jakie daje poznanie żywych jej ognisk?

"Rider desires not so much facts, as an introduction to the experiences of art" pisze Cheney w przedmowie do swej historii sztuki, w której wbrew powszechnemu przyjętemu zwyczajowi, zwałczanym przez niego, — fakty historyczne traktuje jako doświadczenia, a przedewszystkiem stara się zapoznać czytelnika z podstawą i zagadnieniami twórczości, umożliwiając mu wyczuć "experience of art".

Dać amerykańskiemu czytelnikowi "experience" polskiej sztuki! Dać mu w książce nie formalną wiedzę i fakty ale wyczuć polskiej koncepcji sztuki, dać mu zrozumienie proocw Norwida i ich spełnienia poprzez stuletnia drogę rozwoju polskiej myśli twórczej, otwierając obraz pracy, entuzjazmu, tętna, najważniejszych etapów tej drogi, twórczo promieniących postaci; dać mu zrozumienie polskiego "uczestnictwa" w sztuce, w której się duch polski tak cudownie "wytlumaczył", stało się moim marzeniem dzisiaj, gdy stojąc u wrót nowego świata, walczymy o prawo wolnego w nim uczestnictwa.

Dziwiła się Wiejska pewnego wieczora, czego szukała w Sejmie oficerowie i to aż trzysta, dziwiła się potem, że Marszałek w swym mundurze już nigdy nie przyjeżdżał do swego przyjaciela, marszałka o wspaniałej srebrnej czuprynie i błyszczących, czarnych oczach.

A potem dzień się zaczęło na Wiejskiej coraz mniej. Długie miały miesiące w czasie których Sejm i Senat były — "odroczone". Kopiała sali posiedzeń stała czarna i polyskliwa, ale martwa. Okna klubów poselskich i kulaarów były we dnie zawieszane firankami, a w nocy patrzyła na ulicę Wiejską równie jak kopiała polyskliwą czernią.

Alle trzy wielkie okna na pierwszym piętrze, widoczne od ulicy Matejki! — tej zwanej przedtem Instytutowa — nigdy firanek nie miały i zawsze gorzało w nich światło. Tam, za temi trzema wielkimi oknami życie wrzało zawsze, przez cały lat dwadzieścia, od chwili kiedy jako sprawozdawca krakowskiego "Ilustrowanego Kurjera Codziennego" zjawił się prosto z Wiednia, z kawiarni "Central" i "Reichsratu" — Władysław Bazylewski, najstarszy z parlamentarnych dziennikarzy, oj-



Pomnik Kopernika (Thorwaldsena) w Warszawie (przed pałacem Staszica)

JOZEF PALINSKI

POLACY W KANADZIE

W piątą rocznicę wojny ukazały się w Montrealu dwie jednodniówki, wydane przez tutejsze polskie społeczeństwo.

Pierwsza z nich — to drugi numer angielskiej "Fight for Freedom", której pierwszy numer ukazał się w dniu Święta 3-go maja. Jednodniówka ta została całkowicie poświęcona wysiłkowi wojennemu Polski w ciągu tych czterech lat wojny. Wstępny artykuł pisma nosi podpis polski Rzeczypospolitej z Ottawy min. W. Podolskiego. Na drugiej stronie znajdujemy glos. Min. obrony narodowej Kanady J. L. Ralston oraz artykuł "Two leaders one Idea" ujmujący sylwetki tragicznie zmarłego gen. Sikorskiego i jego następcy gen. Sosnkowskiego.

Ozdobą jednodniówki jest mapa, obrazująca poszczególne momenty walk polskich sił zbrojnych podczas obecnej wojny; jest ona pomysłem p. Prashil Kozłowskiego a dziełem p. Kowalczyka. Druga jednodniówka jest wydana w języku polskim.

Wydawcą obu jednodniówek był Komitet Funduszu Obrony Narodowej i Funduszu Ratunkowego, który jednoczy w sobie przedstawicieli wszystkich polskich stowarzyszeń na terenie Montrealu zarówno starej emigracji jak i nowego wojennego uchodźstwa.

Jednodniówka polska nosi tytuł "Ognia" i ma być zaczątkiem przyszłego pisma polskiego na terenie Montrealu. Inauguracyjny numer "Ognia" miał trzy zasadnicze zadania: pierwsze — to przypomnienie tragicznej chwili, gdy cztery lata temu Polska sprzeciwiła się z bronią w ręku temużde przemocy hord z pod znaku swastyki idące w drodze do ujarznienia świata. Zadanie drugie to uwypuklenie polskiej racji stanu, założenie programowej myśli polskiej, wytknięcie celów stojących przed nami, wskazanie obowiązków każdego z nas w współpracy nad odbudową Polski. Trzeci celem "Ognia" to przypomnienie Montealskiej Polonii o czteroleciu jej zjednoczenia. Przeszło cztery lata bowiem wpływa od chwili, gdy najwęższe organizacje polskie w Montrealu zrozumiały znaczenie zjednoczenia emigracji i oceniły potrzebę stworzenia ośrodka centralnego, skupiającego siły całej Polonii.

Pewnym zarzutem skierowanym w stosunku do redakcji obu jednodniówek była

(dalszy ciąg ze strony 1-szej)

ULICA WIEJSKA

nie mający w Warszawie stałego mieszkania. ciec organizacji prasowych w Odrodzonej. Nauczył jak się robi sprawozdania, jak się galerię prasową obsadza, co to jest stonogram a co "djarjusz". Znalazł cudownego Karola Irzykowskiego, filozofa, szachistę, stenografa i jakiegoś. Ten był szefem stonogramów. Potem przyszedł z "Dumy" petersburskiej najlepszy na świecie, wiecznie o kogoś zatroskany Stefan Grostern i ze Lwowa, król kawiarni, poezji, cyganerii, w czarnej pelerynie i "fontaziem" za miast krawata — Feluś Przysiecki. I też ze Lwowa i z "Zielonego Balonika" ukochna Zofia Osbergerowa i órka jej, dwumetrowa Jadzia i malefki, żywy, czupryni, zawsze w opozycji, nieugięty "pepe-siak" — Jerzy Nowakowski i nieodłączny "zeichapeklem" Romanem Boskim, i Jan Dąbski, już członek delegacji pokojowej w Rydze, a współtwórca tego, co przez pełnych lat dwadzieścia uczyniło ze skończonej ulicy Wiejskiej nie tylko centrum polityki, ale i pracy zorganizowanej. Zdzisław Debicki, Stanisław Dubois, Witold Noskowski, Kazimierz Ehrenberg, Bernard Singer, Hieronim Wierzyński, Witold Gielżyński, Benjanc Chlilnowski, zamęczony w ghetcie, Stanisław Piasecki, zabity w drukarni tajnego pisma w maju ubiegłego roku. Czy ich mogły wyliczyć wszystkie? A tych co przyjeżdżali z prowincji, "po wiadomości" — Kędzierski i Jarochowski z Poznania i Winiewicz z nimi i Rubel z Krakowa i Tabaczyński z Katowic i chudy Rumun i Oltazewski z Łodzi i gruby Wassercug i Okulicz wytworny z Wilna i wiecznie głodny Mackiewicz i bruchaty Zachariasiewicz ze Lwowa z Laskownikiem, synem Bronisława.

Nie, to nie jest spis kompletny tych którzy w jednym lokalu klubowym w gmachu przy ulicy Wiejskiej przez lat dwadzieścia pisali, telefonowali, miłowali się i kłócieli, reprezentowali wszystkie polskie obozy polityczne, a nie stracili nigdy języka porozumienia ze sobą. Grali w szachy, pili wódkę (dużo), zawsze byli nieprzekupni, nigdy grozom nie śmierzili i na tej Wiejskiej stopili w jedną różnorodną, ale zwartą, uformowaną i świadomą swęj odpowiedzialności — polską prasę polityczną.

Kiedy o świecie, po wysłaniu ostatnich kartek "djarjusza" do nocenej redakcji, po ostatnim telefonie do Krakowa, Łodzi, Poznania, Wilna, Lwowa, Gdyni — wychodzili na ulicę Wiejską, skośnie biegnącą uliczka otuliła ich dumnie — przecież na niej, na Wiejskiej pisała się historia Polski!

WŁADYSŁAW M. BESTERMAN

RYSZARD ORDYŃSKI

LORD ROBERT VANSITTART

Kiedy młody reżyser teatrów Reinhardtowskich na rok przed "tamtą wojną" poznał się z młodym dyplomata z brytyjskiego Foreign Office, o "Czarnej Księdze" Lorda Vansittarta jeszcze nie mogło być mowy. Ani o potrzebie jej ogłaszania. Jakkolwiek groźne wiatry, nieprzyjemne w każdym razie dla polityki brytyjskiej, już szły od strony pruskiej.

Niemcy owej epoki z ogromnym zapętem poczęły budować swój przemysł i organizować zagraniczne placówki dla jego zbytu ale w jeszcze pośpieszniejszym tempie zabrali się do wzmoczenia swojej floty handlowej i wojennej.

Wtedy w naszych rozmowach z Robertem Vansittartem doszło do pewnych wynurzeń i rozmyślań na tematy polityczne. Obydwaj znaliśmy dobrze współczesne Niemcy. Vansittart odbywał, o ile wiem, część swoich studiów w niemieckich uniwersytetach i był świetnie obznajomiony z literaturą i, jak ja, wielkim wyznawcą Goethego. Po kilku miesiącach naszej znajomości otrzymałem od niego miłą dedykacją opatrzony tomik wierszy p. t. "The singing Caravan". Wtedy zrozumiałem, że poeta i dyplomata, świetnie odczytany w literaturze świata, może do swojej metodyki dyplomatycznej wprowadzać elementy, oświetlające tradycję każdego narodu i jego współczesną psychologię.

Nadeszła wojna r. 1914, literat i dyplomata Vansittart nawiązał tymczasem z mną bliski kontakt; podczas wojny mieliśmy czas i potrzebę kilkakrotnej wymiany listów pomiędzy Anglią i Ameryką, w której od roku 1915 resztę wojny przeżyłem. Na wiosnę roku 1919 spotkaliśmy się w Paryżu.

Vansittart był wówczas członkiem komisji brytyjskiej dla prac pokojowych i urzędował w hotelu Astoria, zajętym na okres konferencji przez delegację angielską. Kilka spotkań i rozmów natury szerszej przyjaźielskiej bardzo nas do siebie zbliżyły. Powstał między nami projekt napisania wspólnie dramatycznego widowiska, które miało być poetyczną wizją i gloryfikacją Paryża, jego kultury i bogatej tradycji artystycznej. Tem też sztuki, do której Vansittartem w Londynie a mną w New Yorku, były przygody młodego żołnierza amerykańskiego, którego wojna zagnała do Francji. Niewiadomy wielkich bogactw i wspaniałej kultury francuskiej, a wmiessany w wizję i echa starego Paryża, żołnierz ten, w cywilu artysta-malarz, ulega czarowi i romantycznej halucynacji.

"Echo Town", którego ostatnia redakcja angielska wyszła z pod pióra "Van'a", jak go nazywaliśmy, czeka jeszcze właściwie na nowe opracowanie i zasługuje na realizację artystyczną — kiedyś po wojnie. Powinna wyjść teraz z pod pióra autorów w bardziej pogłębeni i bogatszej w przeżycia formie dramatycznej.

Wróciwszy do Europy i często wyjawając w Londynie, zawsze odwiedzałem Vansittarta w domu i biurze. Nasze stosunki przyjaźielskie zaczęły się również dzięki przemilej jego małżonce, osobie o wielkiej kulturze i obdarzonej tradycyjną w jej rodzinie znajomością polityki międzynarodowej.

Vansittart na nowem a bardzo ważnem stanowisku, jako najbliższy współpracownik i sekretarz premiera Baldwina, stał się w Londynie już wybitną osobistością. Wiedział się, że z Downing Street podzieli niezawodnie na jakichś bardzo odpowiedzialne stanowisko. Jego wysoka inteligencja obejmowała niezmiernie pole uniwersalnych interesów imperjum brytyjskiego, które się koncentrowało w biurze jego szefa. Ogarniając całość problemów polityki brytyjskiej, wewnętrznej jak i zewnętrznej, Vansittart zabłąsnał na tem stanowisku jako wyjątkowo umysł polityczny i przyszły mąż stanu.

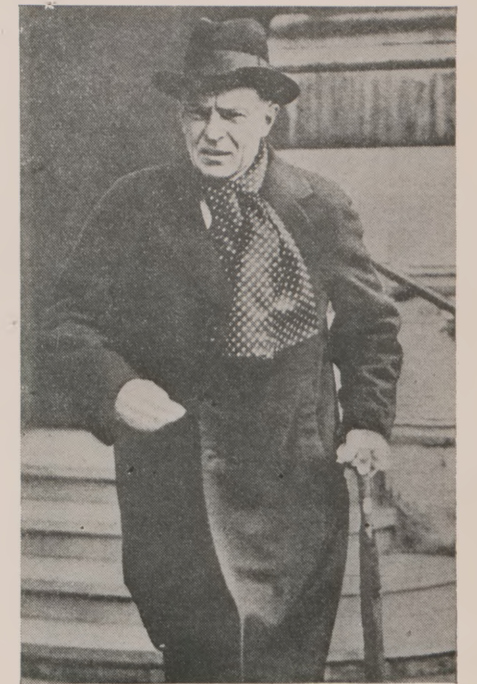
Poprzedzony wielkim autorytetem, który zyskał sobie będąc sekretarzem premiera, Robert Vansittart objął urząd stałego podsekretarza stanu w ministerstwie spraw zagranicznych, jako wybitnie biegły w odczytywaniu zwykłych problemów międzynarodowych i przystawaniu interesów państwa. Na stanowisku podsekretarza stanu, na którym wytrwał przez długi szereg lat, Vansittart odegrał bardzo ważną rolę w polityce brytyjskiej. Znając źródła polityki niemieckiej od strony historycznej i orientując się w nastawieniach psychicznych tego narodu i jego przodków, bardzo szybko nastrawił się na obserwację tych posunięć międzynarodowych, które miały pchnąć "jako-by" ulaskawione Niemcy z czasów Streszmana i Brueninga w objęcia Ligi Narodów i jej przedstawicieli, wierzących w zasadę współodpowiedzialności za utrzymanie pokoju światowego.

Bystry obserwator dokonywujących się zmian i wewnętrzno-politycznych w Niemczech i grozących z tej przyczyny niebezpieczeństw, Vansittart wcześniej niż wielu innych polityków angielskich zrozumiał, że umiernenie przyznacza brytyjsko-francuskiego jest najbardziej logiczną drogą, na którą polityka tych dwóch państw wejść powinna.

Sytuacja Ligi Narodów, gdzie nie zawsze z wielką dla innych jej członków korzyścią, istotne kierownictwo leżało w ręku Anglii i Francji, ułatwiło miłość silę tego przyrzeczenia. W Foreign Office stał się Vansittart rzeczywistym polityką pro-francuskiej. Zjednało mu to wielu zwolenników i szczerych współpracowników, równocześnie jednak i zdecydowanych przeciwników.

Od tej chwili podsekretarz stanu w Foreign Office, utrwalony w swym urzędzie przez szereg doskonałych posunięć na terenie międzynarodowym, miał dla ludzi obznajomionych z misterną machiną angielskiej polityki zagranicznej — bardzo wyraźne oblicze. Od strony niemieckiej szły ku niemu teraz ostre napaści lub sprytnie zakusy zdobywania go dla innego typu polityki europejskiej. Wizja tej racji stanu, jaką uważał za jedynie właściwą dla utrzymania pokoju europejskiego, była już w ostatnich latach przedwojennych tak dla niego jasna i tak niewzruszona jej konsekwencje, że ani wróżbi ani "niełaski" w własnym rządzie nie naruszyły wytkniętej niżej polityki.

Nastąpiła dramatyczna rezygnacja ministra Edena, a za nią przez czas jakiś zwiększenie stanowiska Vansittarta, który posiadał w ręku wszystkie nici skomplikowanej



Lord Robert Vansittart

machiny ministerjalnej. Zdecydowany temperament i wyraźna linja postępowania Vansittarta zatrudżyły w pewnej chwili premiera, który wprowadzając na stanowisko ministra lorda Halifaxa, upatrzył w nowym kierowniku spraw zagranicznych dla siebie narzędie. Obydwaj wierzący bogobojnie w zasadę pokoju niemal "za każdą cenę" stali się autorami Monachium. Po przedzielnym szeregu upokorzeń, godzących w tradycję brytyjską, którym podsekretarz stanu przypatrywał się z wielką a bynajmniej nie ukrywana nieufnością.

Ponieważ prowadził nadal taktykę odpowiadającą uczciwie przesłankom czujności wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa agresji niemieckiej, ponieważ nie okazał zamiaru wystąpienia swym nowym szefem w roli manekina — należało mu odebrać narzędzie działania. Premier Neville Chamberlain i jego "zły duch" Horace Wilson, piastujący urząd doradcy ekonomicznego ale wpływami sięgający głęboko w system rządzenia i obsadzania ministerstw, postanowili usunąć z widowni nieprzejednanego wroga agresji niemieckiej.

Zgodnie z najlepszą tradycją brytyjską odbyło się to z zachowaniem wszystkich pozorów awansu. Odznaczony bardzo wysokim orderem Sir Robert Vansittart został zamianowany "Chief diplomatic advisor", przyczem jako specjalny dowód zaufania pozostawiono mu jego biuro i biurko dotychczasowe w ministerstwie.

Była to niestychanie uprzejma i okryta zaszczytami "odstawa". Na rok przed wojną odebrano bezpośredni aparat działania jednemu z niewielu polityków, świadomych zwałającej się na Europę burzy wojennej. Wybitna indywidualność tak utalentowanego i przewidującego urzędnika, wywołona z balastu formalności — nie przestała ciążyć na sumieniu tych, którzy mu odebrali możliwość przeciwdziałania machinacjom wroga.

W kwietniu i w lipcu 1939 byłem przez kilka tygodni w Londynie. Widywałem często swojego przyjaciela i wiele z nim godzin przegadałem. Był w wspaniałej formie. Z konieczności odgrywał musiał rolę Kassandry, gdy ostrzegał, ale natchemnie umiał być lwem, który zapewniał, że bronić się nie trzeba do ostatniego swoich dawnych tez i że choć odsunęty od rządzenia gotów każdej chwili stanąć w obronie najbardziej istotnych i zasadniczych interesów swojego kraju.

Wybuch wojny był najbardziej tragicznym potwierdzeniem słuszności polityki Vansittarta. W drugim jej roku nowe zaszczyty i nowe osłabienie wpływów w ramach samego ministerstwa były zakończeniem jego długoletniej kariery dyplomatycznej.

Wysoka godność Lorda nadana mu w uznaniu długich lat wiernej i niewzruszonej służby dla kraju, wywołowała go z wieżow urzędniczych raz na zawsze. Ale pełen energii, rasowy polityk i uczciwy mąż stanu nie przestał działać.

Szereg przemówień radiowych, poświęconych głosom i powszechnemu stwierdzeniu historycznej prawdy o ciągłości agresywnej polityki niemieckiej, od wieków pod różnymi hasłami sięgającej po dominację nad Europą, otworzył oczy milionom Anglików na groźbę tego problemu. Mała broszurka pt. "Black Record" którą i tym razem otrzymałem tutaj od autora z krótką dedykacją, zawiera nie tezy lub domysły polityczne lecz dokumenty nie dające się obalić, na które do dnia dzisiejszego wielu polityków angielskich świadomie zamyka oczy.

Temperament polityczny Lorda Vansittarta, jego otwartość w podejmowaniu walki z "appeasement" wszelkiego typu, który osłabły go bynajmniej. Przeciwnie, wzbyszy się odpowiedzialności ciążące na wysokim urzędniku państwowym, Vansittart wziął na siebie odpowiedzialność doskonałego obywatela swego kraju, którego głos będzie słyszany przez długie jeszcze lata.

Dynamika walczącego o prawdę polityka nie da się dziś niczem stłumić.

Ś. p.

z Niewęglowskich

MARJA
SERAFINOWICZOWA

nauczycielka

zmarła w Warszawie

w 73 roku życia

o czem zawiadamia

S y n .



Gmach Ambasady Stanów Zjednoczonych w Warszawie (pałac Raczyńskich) (Według akwaforty z karty świątecznej ambasadora A. Drexel-Biddle)

STANISŁAW BALIŃSKI
A VISION OF THE GHETTO

Whither do you lend me, tragic poet, — along walls
I know not, though I know the town?
Into what worlds will you bring me
Through these grated doors you are opening? Hush... the Ghetto.

Close heat envelops us, dense night fingers us.
A cry of terror has rung in the distance.
In a dream I follow you and penetrate the darkness
In order to see the shape of the suffering from which I fled.

Here are no trees nor leaves — only a wall and stone,
Neither wind nor water, only a black well,
Whence hunger creeps forth barefoot and lurks in the doorway,
Mournfully scattering the seeds of typhoid.

I go, but I still cannot believe in the feudal infamy,
Which the German ruffians have brought here,
Setting up in our Warsaw, our old, our liberal Warsaw,
For an everlasting memorial of sorrow — a new wall of lamentation.

Hush... do you hear? Someone is crying. A child is crying...
There in that basement... Let us go and see.
On a burning bed, where the heat never dies down,
Two children dream in a fever-ridden nightmare.

By them stands their mother and listens helplessly,
Behind her some relations and old women in wigs
With frightened eyes and a complexion of wax,
Which seems tremulously to reflect the hissing flicker of the oil lamp.

The boy opens his eyes.
Tears shine in them, distilled from fever, paler than ashes.
"Mother" he cries "it is summer: I can see the bank of the Vistula,
The water running by, and the fresh air above it."

Some memory of happiness caresses his face
And brings him a kiss from a distant country.
Meanwhile the little girl smiles in her sleep and dreams:
"I should like to have a twig from the Saxon Garden."

She would like to have a twig from the Saxon Garden,
She stretches out her hands for it as best she can.
The relations can only shake their heads and ask
How she can know about such things... she does not understand what she is saying.

But her mother has torn herself away. The wind has uprooted her,
She was rushed out into the street. The wind races through the shadows.
Under the patch of sky she runs to the wall,
And there at the regular place through a narrow chink

She begs... not for a morsel of sugar, not for a rind of bread,
But for something green, for a single branch.
There is a faint rustle in green trees...
Someone has thrust a twig into her hands and whispered "Run away!"

Through torrid streets where nothing ripens:
Down alleys and sewers which give off typhoid,
By black rows of windows without voice or movement,
But only the hiss of breathing cramped in stench floats out from them,

Through human cruelty, through the humiliation
Which abases the weak and exalts the strong —
Runs the spectre mother — the night hours environ her
And night transmutes into stone the echo of her steps.

She will run from end to end of the Ghetto, through life, through sleep,
To bring her children a bunch of green leaves,
To lay them at the very last, a refreshing breath,
On their eyes, on their lips, for ever and ever.

Those green leaves shall never perish,
Many things will pass but not they.
When the walls of contempt crumble into dust
And the wind blows freely over shattered stone,
They will bloom again in the spring and softly fall —
Those leaves which are woven of death and love together.

Translated by Frank Savery
Counsellor of the British Embassy to Poland



Rysunek Ireny Lorentowicz

IRENA LORENTOWICZ
THE STYLE OF THE LAST POLISH KING

When Warsaw burned in the memorable September, there fell into ruins palaces which we shall certainly never be able to rebuild, or at least we shall never be able to recreate their original beauty, filled with the patina of centuries, the patina of the love of the people of Warsaw. Only painful ruins, partly already even removed by the enemy, have remained of these buildings built in the neo-classical style so characteristic of Warsaw and known as the "style of the last Polish king." And among the ruins of the Royal Castle, that darling of the heart of King Stanislaus, his spirit still wanders and weeps...

On the places where for a century and a half beautifully built walls stood, grass has grown. From that memorable September there have remained horribly realistic documents — grey photographs. Before the building of the Grand Opera Theater, on that square, until not long ago so joyous, a festival square, a theater square, there are graves. On the graves — dirty snow, on the snow — lamps and crosses, on the crosses — the caps of soldiers, high school students, young boys... All around ruins empty windows through which one may see the sky on the other side, columns shot through with gunfire, burnt rubble and blood on them still. In the gigantic theater buildings there were located three theaters, numerous shops, storehouses for stage properties, a world of magic and poetry. Never perhaps had the theater ever played so great a role as it did in Warsaw, especially in the Warsaw of reborn Poland. Although the building of the Great Theater was built at the beginning of the XIX century, nevertheless its columned style, based on Greek models, so popular in the time of the Empire, belongs to the epoch which our last king inaugurated and which is called the "Stanislaus renaissance."



Rysunek Ireny Lorentowicz

Many such classical buildings were built at that time in Warsaw, as for example the Staszic palace, the palaces of the families of Krasiński, Potocki, Mostowski, Czartoryski; or as for instance the Belvedere Palace where later Piłsudski lived, the Królikarnia palace, the splendid historical buildings where the Ministry of the Treasury, the Presidium of the Council of Ministers, Warsaw University, and the Ministry of Agriculture were located... September bombed the majority of these palaces — the entrances were destroyed, the walls torn asunder, everything in ruins...

And the style of these palaces, so very Polish! took on here a specific character more national than the Vistula Gothic, or the so-called "Polish" renaissance or baroque. The lofty, tranquil silhouette of the stone columns was so closely related to us in spirit, that even in the distant Polish countryside, the quiet, unassuming country house, the "house on pillars" is nothing more or less than a repetition of the style which by some strange by-paths made its way from ancient Greece to the eighteenth century, when in Germany, Lessing was only discovering Shakespeare.

Sitting among his palace treasures, among the beautiful tapestries and richly painted ceilings, the king seemed to forget the misfortunes of his country, helpless as he was to assist, but he must have had a premonition of the fact that his contribution to the history of Polish culture would be immense and lasting. With a dreamy passion he devoted himself to immortal art which became an everyday necessity in his life. He collected works of art with the delight characteristic of a Petronius, he ordered pictures and sculptures from the greatest masters of the world. The factory of ceramics founded by him at Belvedere produced precious objects sought by museums and collectors of all countries. The king made of his court the last artistic court in Europe. It was for the last time that a monarch lover of art, surrounded himself with a host of artists, directed their work, and solicitously tended the artistic affairs of his country. It was also the last reflection in the world of the renaissance courts, of the renaissance relationship to art. In the halls of the Castle, splendidly preserved up to the time of the present war, one could distinctly sense the presence of the artist-king, — in the flickering candles, the gilded candelabra, the shining surfaces of the inlaid floors and the sculptured window sills...

The year 1788 was memorable in the history of Poland not only for the opening of the Sejm, crowned with the publishing of the Constitution of the Third of May (the first constitution in the world), but also for the adornment of the capital with

numerous structures, the expression of the unusual and completely unique taste of the epoch — among these buildings the most beautiful was the summer residence of the king, a small palace in a park called the "Łazienki Królewskie" or the "Royal Baths." Around a little palace white as a temple, reflected in the dark water of ponds, whose permanent decoration were the swans, there were placed statues and sculptures of Greek gods, whose figures, like an eternal inspiration, are repeated in visions throughout our poetry, guarding the country's greatness, foretelling freedom, weeping over its misfortunes...

In the soul of every Pole there exist misty dreams — the Łazienki park at night, the white goddesses in the park, the high shakos of the Uhlans, the amaranth of the flying standards... It is like a well-known song, dear and familiar... In our mind's eye, we in exile leave that park, where now march the German sentries, to follow along the avenues lined with chestnut trees, and out on the long sad streets of ruined homes across Warsaw to the place where a pile of stones lies, and where once stood the Royal Castle.

And in our mind's eye, we see still other apparitions — not the ruins of the "Black Book of Poland," but in the rosy light of the sun setting over the Vistula, long rows of white Stanislaus palaces; — and, riding up the center of the Krakowskie Przedmieście, a high — according to the 18th century fashion — cabriolet, in which Prince Joseph Poniatowski, nephew of the king and arbiter elegantiarum of all Warsaw, a later hero of the Napoleonic tragedy of Leipzig, is hurrying. He drives six horses, and beside him, leaning towards him and smiling, sits Tadeusz Kościuszko, newly arrived from America and decorated with crosses for valor on the field of battle. They are riding to the castle... To the king...

STANISŁAW CZUWARA
POMNIK MODRZEJEWSKIEJ W KALIFORNII

Helena Modrzejewska, była tak słabego zdrowia, że lekarze obawiali się, iż grozi jej gruźlica, to też za poradą Henryka Sienkiewicza w 1872 roku udała się z mężem hr. K. Chłapowskim (powstańcem z 1863 r.) i synkiem Rudolfem do Stanów Zjednoczonych. Po przybyciu do New Yorku i rozjeździe na ziemi gościnnej Nowego Świata wyjechała do Kalifornii. Tu osiedlił się w Anaheim, w południowej Kalifornii, blisko Los Angeles. Artystka sama prowadziła swoje gospodarstwo domowe.

Trzeba jednak było jakoś urządzić sobie życie, więc 22 mil na południe od Anaheim, w Santiago Canyon, kupił farmę, gdzie wybudował piękną willę. Farma ta została nazwana Arden. Mimo, że słońce południowej Kalifornii sprzyjało zdrowiu artystki, jednak nie mając talentu prowadzenia życia na farmie — po nowym czasie straciła wszystko... Pani Modrzejewska pozostała jeszcze jej genialny talent i pociąg do sceny, a chociaż pierwotnie nie zamierzała występować na tutejszych scenach, chwyciła się tego planu — chcąc ratować rodzinę w ciężkim położeniu materialnym. Wyjechała więc do San Francisco, by uczyć się języka angielskiego.

Podróżując w tym czasie po Stanach Zjednoczonych H. Sienkiewicz przepięknie opisał pierwszy jej występ w Ameryce w roli Arjanny Lecouvreur, podnosząc jej nieporównany talent i opanowanie języka angielskiego w osmiu miesiącach tak dalece że w San Francisco swoją grą zdobyła szturmem publiczność amerykańską, usposobioną w tym czasie bardzo krytycznie, nawet do pierwszorzędných sił europejskich.

Obecny na tem przedstawieniu H. Sienkiewicz w korespondencji do Warszawy pisał: "Teatr wył, ryczał, kłaskał, tupał. Mężczyźni odbierali swoim 'ladies' bukiety i ciskali na scenę; starzy rodacy nasi płakali jak małe dzieci; słowem, oczywistość przeszła wszelkie nadzieje i wszelkie oczekiwania".

Jak trudno było rozstać się Modrzejewskiej z myślą o polskiej scenie, świadczy jej słowa, które wypowiedziała do Sienkiewicza: "Proszę napisać do Warszawy, że gdziekolwiek będę w każdym mieście, tak w Ameryce, jak w Anglii, będę grała Ofelję po polsku". — A potem prawie ze łzami w oczach dodała: "I w Warszawie muszę, muszę grać, choć raz jeszcze jeden w życiu".

Po dwu tygodniach występów, kiedy grała rolę Ofelji w polskim języku — pisał Sienkiewicz: "Dźwięczny, przystyżny język nasz brzmiał wśród ciszy teatru, obol: chrapliwych dźwięków angielskich, jak a-nielska muzyka; opowiadał je, zwyciężył! Poszedł wszędzie i podbił serca wszystkich słuchaczy".

Po zakończeniu występów urządzono artystce manifestację. Reprezentanci prasy wyczerpli pani Modrzejewskiej adres, drukowany na białym atlasie, z następującym wierszem:

"Hither unheralded by voice of fame,
Except as a fair foreigner you came:
Light was the welcome that we had prepared —
Even our sympathies you scarcely shared;
Not as the artist whom our people knew —
As come fresh novice did we look on your.
Mark the great change!! Since that eventful night,

know I poured out everything I had. I told him about the glad eye and being a very first American and about New England. I told him a lot. My face was on fire. I had tears in my eyes a few times.

"He was a good listener. Then he told me he was going away soon. For a vacation. 'Vacation', I said. And he hmed.

"Well", he said, "as far as that goes, it will be the trains again and the faces, and the country again. It will be a hell of a vacation", he said. "I can't rest", he said. "Jesus, I wish I could rest. I got the glad eye pretty bad myself", he said and smiled.

"And then I stood up. He was so tired looking. I didn't want to stay longer. He offered me a drink, but I couldn't take it. I wanted to leave. I had never told anybody so much about myself. I felt wided, but there was a deep joy in me. I told him that I was leaving, and he said 'Good luck to you.' I said the same to him.

"Of the door I said, 'Good luck, Tom, and goodbye, and if I ever get the glad eye written I'll send it to you.'

"Do that", he said.

"And I left."

Paul said, "I wish I had done the same thing. I mean going to him. I never did, though. Anyway now I know someone who did. I told you you'd make out all right, remember? Stan, did you get the glad eye down yet?"

"A little of it, but Tom won't see it. He died about two weeks later, you know."

"Yes, I know. That was tough."

Stan nodded.

"Well, Stan, I've got to get back to the job," said Paul. "I hope you have the best of luck."

"Good-bye, Paul, glad I met you."

MAX CZECH
A MEETING WITH THOMAS WOLFE

This story won first prize at Northwestern University's 4th Annual Writers Conference. The contest was sponsored by the Chicago Polish Arts Club.

Stan met Paul in the library. Stan was walking back from the desk where he had checked a book and he saw his old friend. He was very glad to meet up with Paul again.

"It's a long time since we saw each other," Stan said, "Remember that year when we were freshmen and all we used to talk about was writers and the big ideas?"

"That's right, Stan. I remember."

"Well, this is great, meeting you again, Paul."

Stan was really pleased. He remembered how it had been that year. How he had come to Providence to the college from Steep Street. Steep Street was where he had lived all his life — a little street at the lower end of the town, where all you heard was the clamour of the silk-mills and the trains as they made for Boston and New York. A little street in New England where only Poles lived and worked. Where it was hard to cool down the wonder and the thrill and the promise of America. Stan was a very first American. His folks had come from across and their minds had been asleep for a thousand years in a little village. He was a born American and the folks were so proud of him it worried him

badly. To tell him about my glad eye and my being a very first American and even about my being a Manhattan Special. I wanted to tell him everything about myself, about my folks living in Steep Street, and how they wished... I wanted to meet him on his own account too. I wanted to know him, to ask him how it felt to be haunted in America and never being satisfied with it and still giving it the glad eye. I wanted to meet him. He was a giant. And I wanted to meet him all of a sudden.

"I folded the newspaper over and read the bit again and then I started for the hotel. I didn't know what to do. I thought I was a damned fool. I thought I would be thrown out. I thought, God, if he should turn out to be a disappointment. I couldn't stand it. But I went on. I remember I lit a cigarette and it went to my head. I was drunk.

"I finally got to the street and the hotel. I looked at it. It was a big hotel, but very grimy. I couldn't see why Tom didn't go to a clean hotel, a white, towering hotel. You know what I mean. I saw flags set up all over the facade. At least they honored him. (But not really, the flags weren't for him. I found out later. They were for a flier, a fellow named Wrongway Corrigan).

"I tell you, when I crossed the street and hung around the front of that hotel I was burning up. I was jammed full of all kinds of crazy notions. Perhaps it was the wrong time to call. This, that, and the other. To hell with it, I said, he's a great writer, and if he can't live up to it, the hell with him.

"I went in. I asked the clerk for Thomas

Wolfe. He asked me "Who?". I told him again. He finally came back from his files and said, "Yes, Room 1216. But he left a message that nobody could come up unless he was asked."

"Well", I told the clerk, "tell Thomas Wolfe that Stan K... is calling, — from Boston". I added, I watched the clerk ring up. In that minute I was hoping that Tom wouldn't let me see him after all. I was too excited. I felt my face burning. I watched the clerk and I watched him nod his head and come back to me. He said, "go on up".

"I nearly buckled right then and there. The clerk showed me the elevators and I went in. I felt I was being shot up to heaven. I was lifted.

"I found his door alright. I said, 'Good old Manhattan Special,' and knocked. There might have been a bell to ring but I don't remember. I knocked once, twice, and then the door suddenly opened. (I had expected to hear footsteps, the footsteps of the giant who stood in the doorway.) He had a serious face, glowering and very pale. I smiled. I couldn't help it. I smiled and he smiled back. God, I don't know what I would have done if he hadn't smiled. He smiled and said, 'Come on in'. I walked in and he followed me.

"Hello, Tom" I said. I offered my hand and he shook it. I don't know why I said "Tom". "I'm Stan. You don't know me. This is a pilgrimage. I wanted to meet you because you are the greatest man writing today", I said.

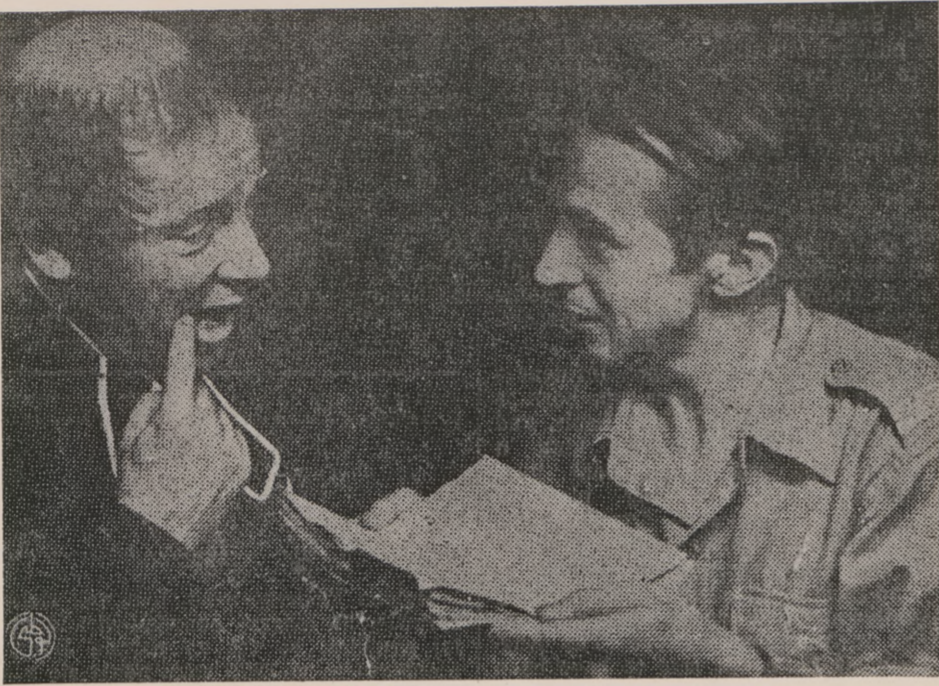
"He was a little embarrassed, I suppose He said, 'Well thanks, Stan, sit down'. I was glad to sit down. I hoped he would sit down but he didn't. He stood.

"What happened I don't know. I only

OPINIE I ZDARZENIA

"DAMY I HUZARY" NA PUSTYNI

J. Karpowicz jako kapelan i reżyser przedstawienia Wacław Radulski



Dzień 11 listopada, w którym upływa 25 lat od wskrzeszenia niepodległego państwa polskiego, naród nasz obchodzi wśród największego w swoich dziejach mężczyźnia i wobec przyszłości wróżącej mu jeszcze niejedną ciężką próbę. Świadomość, że walka nasza nie doszła do końca jest równie powszechna jak postanowienie całego narodu polskiego, by w walce tej nie ustawać i doprowadzić ją mimo wszelkich trudności do zwycięstwa. Żadne tak zwane trzeźwe rozumowanie, przeciwstawiające naszym prawom siłę przemocy, nie zdoła zachwiać narodu polskiego w tem postanowieniu.

Jak we wrześniu 1939 roku, jesteśmy dziś świadkami, że sprawa nasza jest próbierzem prawdziwego zwycięstwa prawdziwej wolności i że bez Polski — całej, niepodległej i silnej — nie może być wolności i sprawiedliwości na świecie. Daje nam to siłę, by patrzeć z ufnością w przyszłość, mimo wszystkich chmur, które przeciągają nad polskim widnokręgiem.

Pełni tej ufności są żołnierze polscy i pełni jej jest kraj. W dniu 11-go listopada wszyscy Polacy dzielą się nią między sobą.

ECHO NASZEGO NUMERU WARSZAWSKIEGO

Wychodzący w Nowym Jorku tygodnik francuski "Pour la Victoire", jest pierwszym w Stanach Zjednoczonych piśmie (nie wyłączając polskich), które zwróciło uwagę na nasz specjalny numer, poświęcony bohaterkiej Warszawie. Cytujemy dosłownie:

Vive la Pologne!

Notre excellent confrère Tygodnik Polski vient de publier un magnifique numéro spécial.

Il s'agit d'un hommage à la ville de Varsovie. Notre confrère a réuni un impressionnant faisceau les plus grandes signatures américaines; Tho mas Dewey, William Bullitt, Sam Rayburn, Dwight F. Green, parlent de la capitale héroïque et martyre avec nos mots de chaleur que ne le font les grands auteurs polonais.

Ce numéro spécial prendra place un jour que nous espérons prochain dans une belle vitrine à la mairie reconstruite de la capitale polonaise.

(Niech żyje Polska! Nasz znakomity kolega Tygodnik Polski wydał właśnie wspaniały numer specjalny. Jest to hołd złożony Warszawie. Nasz kolega zgromadził imponujący szereg największych nazwisk amerykańskich, Thomas'a Dewey'a, Wil liama Bullitta, Sama Rayburn'a, Dwight'a F. Green'a którzy o bohaterkiej i męczeńskiej stolicy mówią z niemiejszą żarliwością niż autorzy polscy.

Ow numer specjalny znajduje się pewnego dnia, który mamy nadzieję jest niedaleki, w pięknej witrynie odbudowanego ratusza Warszawskiego.

CHOPIN — AUGUSTA ZAMOYSKIEGO STANIE W RIO DE JANEIRO

Jak wiadomo August Zamojski, świetny rzeźbiarz polski przebywa od trzech lat w Rio de Janeiro, gdzie zdobył sobie wyjątkowe stanowisko jako założyciel i kierownik państwowej szkoły rzeźby. W różnych miastach Brazylii stanęły już na placach publicznych rzeźby Zamojskiego, którego twórczość i działalność stanie się napewno kartą w dziejach artystycznych Brazylii. Ostatnio z inicjatywy grona uchodźców wziętych za okazaną Polakom przez Brazylię gościnność zawiązał się w Rio de Janeiro komitet, który wzniesie na jednym z głównych placów Rio de Janeiro pomnik Chopina, dzieło Zamojskiego — dar uchodźców polskich dla brazylijskiej stolicy. Do postaci Chopina pozuje Zamojskiemu świetny nasz aktor i reżyser Zbigniew Ziemiński, sławny w swoim czasie twórca roli Chopina w sztuce Iwaszkiewicza "Lato w Nohant".

PAMIĘTNIK OLGIERDA CZARTORYSKIEGO

Bawiący obecnie w Stanach, a zamieszkały od trzech lat w Rio de Janeiro książę Olgierd Czartoryski napisał niezwykle interesujące pamiętniki, które niedługo wyjdą z druku w New Yorku nakładem jednej z największych firm wydawniczych. Książką Olgierd Czartoryski, ożeniony z arcyksiężniczką austriacką Mechtyllą, córką arcyksięcia Karola Stefana z Zywca i spokrewnioną przez to ze wszystkimi najważniejszymi dworami europejskimi, widział i słyszał wiele rzeczy, które dziś stały się historią i znał wszystkich najważniejszych ludzi politycznych naszej epoki. Jego życie od dworów królewskich do więzienia nazistowskiego, gdzie był w roku 1939 zamknięty wraz z całą rodziną, jest historią niebywałą i pełną nauki, którą Czartoryski oddał w swych pamiętnikach z prostotą i szczerością. Będzie to napewno książka rozchwytywana.

NAJWIĘKSZY POLSKI PROGRAM RADIOWY W U. S. A.

Największy polski program radiowy w Stanach Zjednoczonych nadawany jest co dzień na stacji WJBK w Detroit. Pro wadzi go Eugeniusz Konstantynowicz, zatrudniając szereg artystów polskich oraz orkiestrę koncertową, Konstantynowicz nadaje słuchowiska, inscenizacje piosenek regionalnych, wielką poezję i prozę polską, mając do dyspozycji zespół, złożony z 17tu sił wykonawczych. W ciągu jednego roku Konstantynowicz zebrał przeszło 1 milion dolarów na cele wojenne a ostatnio ufundował bombowice dla armii amerykańskiej "Polish Eagle of Detroit". Niezależnie od tej działalności Konstantynowicz rozwija szereg innych akcji patriotycznych zbierając na gwiazdkę dla polskich żołnierzy, na paczki dla jeńców polskich w niewoli niemieckiej, na walkę z paraliżem dziećmi i i.

"Gdzieś w Iraku" odbyło się przedstawienie nowo-założonego Teatru Polskich Artystów. Wystawiono komedję Fredy "Damy i Huzary" z udziałem aktorów-uchodźców z Rosji i żołnierzy. Premiera "Damy i Huzarów" odbyła się... na pustyni wobec cztero tysięcnej widowni, złożonej głównie z żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie. Po przedstawieniu widzowie nie chcieli odejść od namiotów, podchodzili do aktorów, dotykali ich strojów i sprawdzali, czy mówią oni językiem, jakim przemawiali ze sceny. Wielu z pośród widzów oglądało komedję Fredy poraz pierw-

szy w życiu i podziwiali stylowe kostiumy, uszyte przez jednego z najlepszych krawców przedwojennych teatru polskiego, 32-letniego strzelca Szczepankiewicza. Przedstawienie stało na wysokim poziomie dzięki reżyserji Wacława Radulskiego, który kieruje teatrem wraz z znaną aktorką Jadwigą Domańską. W przedstawieniu wystąpili pozatem Belscy, Krzyski-Piesch, Umik, Skwierczyński, Karpowicz, Baczyńska i Stankiewiczówna. Polski Teatr Artystów w Iraku jest teatrem wędrownym i objeżdża wszystkie ośrodki wojskowe i uchodźcze, dając codziennie przedstawienia.

GENERAL PATTON JR. — POETA

Dowódca wojsk amerykańskich, które zdobyły Sycylię, general Patton Jr. ma rzadkie w swym zawodzie hobby: jest poetą. Ostatnio magazyn "Companion" zamieścił wiersz gen. Patton'a — modlitwę o zwycięstwo, ujmujący siłą i szczerością.

NIEMIECKI RABUNEK

Brytyjski minister handlu i przemysłu obliczył, że Niemcy zrabowali z krajów okupowanych pod pozorem kontrybucji karnej i kosztów okupacyjnych około — 12,800,000,000 dolarów; jeszcze wciąż zbierają rocznie 4,800,000,000 dolarów. Sumy te nie obejmują wartości zrabowanych przedmiotów i towarów wywożonych masowo do Niemiec z Francji, Polski, Czechosłowacji, Holandji, Belgji, Jugosławji, Norwegji i Danji. "The U. S. board of Economic Warfare" ocenił wartość niemieckich grabieży na 36,000,000,000 dolarów.

EMIGRACYJNA TREMA

Do Londynu dotarły znanienne wiadomości. Podobno Hitler wysłał Ribbentropa do Japonji na łodzi podwodnej by przeprowadzić z rządem japońskim pertraktacje na temat udzielenia azylu dla najwybitniejszych przywódców nazistowskich w razie klęski Niemiec.

Pismo londyńskie The People donosi, że Quislingowie państw okupowanych zabiegają w Berlinie o prawo otrzymania miejsca w łodziach podwodnych, które Hitlera i jego sztab mają zawieźć do Japonji.

ODPOWIEDŹ NA NOWE CZOLGI NIEMIECKIE

W piśmie poświęconem technice wojskowej "Army Ordnance", general brygady Harmon S. Safford napisał artykuł, wyjaśniając, w jaki sposób armia amerykańska daje sobie radę z nowymi niemieckimi 62-tonnowymi czołgami, znanymi pod nazwą "Tiger".

Przeciwko tym żelaznym potworom wynalaziono trzy rodzaje broni, z czego dwie były już dawno w użyciu, lecz zostały przystosowane do walki z nowym przeciwnikiem. Pierwsza to haubica polowa kalibru 105 milimetrów, wmontowana na podwozie czołgowe, znana jako M7 i bardzo popularna w armji Montgomery'ego. Druga broń to 90-milimetrowa armata przeciwlotnicza, skonstruowana w ten sposób, że lufa jej może być obniżona poziomo. Wreszcie nowa, specjalnie zbudowana broń jest mała, trzycolowa szybkostrzelna armata, wbudowana w wieżę pancerną na niszczycielu czołgów. Ta pozornie mała armata okazała się straszliwą bronią, gdyż jeden jej pocisk rozbija w drzazgi niemieckiego olbrzyma.

PRZYPOMNIENIE NA CZASIE

W artykule, który ukazał się w New York Times z dnia 7 b. m., James B. Reston o-mawiając pakt moskiewski przypomina, że w ciągu ostatnich trzydziestu lat Anglja, Stany Zjednoczone i Rosja zawarły między sobą przeszło 50 paktów, z których wiele było poprzedzonych proklamacjami wiecznego pokoju i sprawiedliwości międzynarodowej. Wszystkie te traktaty — pisze Reston — nie zdołały zapobiec katastrofie obecnej wojny.

Jest to chyba jedyny nieśmiały głos pesymizmu w zalewie radosnego uniesienia i optymizmu, jaki znajdujemy na łamach całej prasy amerykańskiej. Zresztą sam Reston wbrew tym początkowym wątpliwościom uległ zbiorowej sugestji.

KLĄTWA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

Belgijski Quisling Leon Degrelle, odznaczony przez Hitlera żelaznym Krzyżem, zamierzał iść do Komunii Świętej w swym mieście rodzinnym Bouillon. Lecz kapłan, odprawiający Mszę świętą, odmówił mu, powołując się na postanowienie belgijskiej hierarchji katolickiej, zakazującej katolikom należenie do faszystowskiej partji Rexistów. Rozwścieczony przywódca Rexistów ściągnął księdza z kazałnicę i kazał go zaarrestować. W następstwie tego zajęcia belgijski biskup wszedł na kazałnicę tego samego kościoła i zrucił na Degrelle kłątwe kościelne. W katolickiej Belgji kłątwa oznacza dla Degrelle większe unicestwienie niż gdyby Hitler pozabiał go władzy.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Znany impresario nowojorski S. Hrok zapowiada na dzień 20 listopada koncert fortepianowy Artura Rubinsteina w Carnegie Hall. W środę 10 listopada odbył się w Town Hall w Nowym Jorku koncert Triu Michała Wilkomirskiego. Trio Wilkomirskiego reklamowane było jako. "The Russian Trio".

W PARLAMENCIE MEKSYKAŃSKIM

Manuel Torres Bueno, przywódca partji katolickiej w parlamencie Meksyku, zaprotestował ostro przeciwko uchwałom, według której Meksyk miał uroczyste obchodzić 26-tą rocznicę rewolucji rosyjskiej. Swoją protekt uzasadził faktem, że Rosja napadła na Polskę i zawarła pakt przyjaźni z Niemcami w roku 1939.

NA RYNKU KSIĘGARSKIM

Staraniem firmy Putnam ukazała się ostatnio książka hr. R. Coudenhove-Kalergiego p. t. "Crusade for Pan-Europe", która poza ciekawą autobiografią zawiera resume poglądów autora na przyszły układ Europy i precyzyjne rolę powojennej Rzezy. Temu samemu tematowi poświęca Pierre van Passen swą ostatnią książkę "The Forgotten Ally"; pierwszy jej nakład wynosi 60,000 egzemplarzy.

Laureatka nagrody Nobla, słynna literatka amerykańska Pearl S. Buck wydała nową powieść, poświęconą walczącym Chinom "The Promise". Akcja powieści toczy się na terenie Burny i zawiera szereg świetnie skreślonych scen batalistycznych. Największą poczytnością wśród amerykańskich czytelników cieszą się nadal reportaże wojenne "z pierwszej ręki". Po wspomnianych lekarza Gordona S. Seagrave'a "Burma Surgeon", płk. Roberta L. Scotta "God Is My Co-Pilot", kpt. Teda Lawsona "Thirty Seconds Over Tokyo", kpr. Thomasa St. George'a "C/o Postmaster" i reportażu Ewy Curie "Journey Among Warriors" — dużą popularność zdobyła książka Williama Martina Campa "Retreat Hell!" "Malta Epic" lana Hay'a (pod którego pseudonimem ukrywa się gen. John Hay Beith) oraz historia upadku Singapora Giles'a Playfaira "Singapore Goes Off The Air".

Znany pisarz i działacz Louis Adamie, z pochodzenia Jugosłowianin, wystąpił z nową książką "My Native Land"; tematem jej jest życie Jugosławji pod okupacją niemiecką.

Na odcinku powieściowym — poza "The Promise" Pearl S. Buck — niema jak dotąd większych zmian. Na czele listy t. zw. "best-sellerów" nadal stoją: powieść historyczna Loyda C. Douglasa "The Robe", "So Little Time" John'a P. Marquanda, "A Tree Grows in Brooklyn" Betty Smith i "The Apostle" Sholema Asha.

Z TEATRU AMERYKAŃSKIEGO

Repertuar Broadwayu powiększył się w ostatnim tygodniu o cztery nowe pozycje: dramat "Manhattan Nocturne" z Eddiem Dowlingem oraz trzy komedje, "I'll Take



Świetny komik Stanisław Sielawski jako Jan Kanty Lipiec, Polak - żołnierz amerykański w rewji "Echa polskiej ziemi"

The High Road", "Goodbye Again" i "What's Up".

W chwili obecnej Nowy Jork posiada 31 teatrów dramatycznych, grających przy wypełnionej widowni a w większości teatrów zamawia się bilety na 1-2 miesiące naprzód. Najsilniejszą atrakcją czasu są jak dotąd... "Othello" Szekspira i regionalna komedia muzyczna "Oklahoma". Równie silnym powodzeniem cieszy się "najgłupsza sztuka stulecia", reportaż autobiograficzny Gypsy Rose Lee "The Naked Genius", wystawiony w Nowym Jorku przez producenta Michaela Todda... wbrew woli autorki i reżysera, który zwałpił o powodzeniu sztuki w końcowych próbach.

W najbliższym czasie wystąpi z premjerą swego nowego dramatu jeden z najpóźniejszych autorów dramatycznych nowego pokolenia, Maxwell Anderson. Sztuka nosi tytuł "Storm Operation" i jest oparta na dziejach ostatnich walk w Afryce Północnej. Z dużym zainteresowaniem oczekuje się również nowej sztuki najpóźniejszego komedjo-pisarza amerykańskiego Williama Saroyana "Get Away Old Man". Erwin Piscator przygotowuje się do wystawienia "Dobrego wojska Szwecja" w nowej inscenizacji, z muzyką Kurta Weill'a.

KLUB OLBRYZMÓW

Nigdzie chyba na świecie nie widzi się tak wielu ludzi nieprzeciętnie wysokich, jak w Stanach Zjednoczonych. Szczególnie uderzająca jest ilość wysokich, wysmukłych i przystojnych kobiet. Zdawalooby się, że w obecności tak wysokich mężczyzn i kobiet ludzie znacznie mniejszego wzrostu odczuwają coś w rodzaju kompleksu niższości, zwłaszcza gdy mały mężczyzna znajduje się w obliczu przerażającej go o głowę kobiety. Tymczasem dowiadujemy się że jest odwrotnie. Właśnie wysocy ludzie cierpią na skutek niezwykłego wzrostu na nieśmiałość i kompleks niższości. Wobec tego postanowili stworzyć na terenie całej Ameryki organizację, której celem są wyłącznie towarzyskie — i matrymonjalne. Członkiem organizacji może zostać ten, kto ma przynajmniej 6 stóp wzrostu.

PRACOWITA RODZINA

Mr. MacCorquadale, z Ministerstwa Pracy w Londynie opowiedział taką historję:

Pewien człowiek prosił w fabryce, by mu pozwolono przychodzić na 8-mą rano a nie 7-mą.

Dlaczego? — zapytało kierownictwo fabryki.

— Bo muszę ubrać nasze dziecko, nakarmić i odprowadzić je do przedszkola.

— Czemuż żona pana tego nie zrobi?

— Ona wa ostatnio wpół do szóstej i pędzi do fabryki na szóstą rano.

— A babcia? Ona powinna zająć się dzieckiem.

— Babcia nie może, bo wraca z nocnej zmiany w fabryce o 7-jej rano!

WYGRZAŁ OD SZKOTA

Pewien Szkot znalazł się drugiemu:

— Jeden żołnierz polski oświadczył mi, że może przez 10 dni nie jeść i przez 10 nocy nie spać. Powiedziałem, że to niemożliwe i założyliśmy się o 50 dolarów.

— No, to wygraliśmy oczywiście!

— Ależ skąd! Drań spał przez 10 dni, jadł przez 10 nocy.

W OBLICZU WROGA

Rzecz dzieje się na froncie. Świeżo przybyłą grupę oficerów sztabowych z generałem na czele, oprowadza po okopach kapitan, dowodzący tym odcinkiem. Posuwają się w milczeniu wśród ciemności nocnych.

— Trzecia linja okopów! — szeptał kapitan. General potwarza szeptem informację pozostałym. Idą dalej.

— Druga linja!

— Szept idzie dalej, budząc grozę.

— Pierwsza linja!

— Jak jesteśmy odleni od wroga? — pyta zduszonym szeptem general.

— Około czterech mil.

General się wyraźnie zdenerwował i krzyczy:

— Czego więc, u diabła pan tak szepta, jakbyśmy byli w oddaleniu kilku jardów? — Bo mnie gardło boli panie generale! — odpowiada nadal szeptem kapitan.

KLIJENT MA ZAWSZE RACJĘ

W jednym z pociągów, wychodzących z Pennsylvania Station w Nowym Jorku konduktor odbiera bilet od pasażera.

— Pan wsiadł do niewłaściwego pociągu. — Niemożliwe! Jadę do Newarku.

— Ten pociąg nie jedzie do Newarku.

— Jaki? Dlaczego?!

Konduktor się wyraźnie zniecierpliwiał.

— Panie drogi, pan wie lepiej odemnie? Może ja w takim razie jadę złym pociągiem. co? Niech pan nie będzie śmieszny!

Zniecierpliwienie konduktora zamieniło się w przerażenie, gdy okazało się, że jednak pasażer miał rację. Z drugiej strony wozu odbierał bilety inny konduktor i po-dejrzyliwie obserwował kolegę.

TAJNE POSIEDZENIE

W związku z zwołaniem tajnego posiedzenia Senatu, na którym złożyli sprawozdanie senatorzy ze swej podróży po obszarach wojennych, opowiadają w Waszyngtonie następującą anegdotę:

Kijka lat temu senator Charles Thomas wstał podczas obrad Senat'a amerykańskiego i zażądał, by natychmiast odbyło się tajne posiedzenie. Gdy przewodniczący zapytał, co jest powodem tego nagłego wniosku, stary cynik Thomas odpowiedział: Panie przewodniczący, chcę wygłosić ważne przemówienie i dlatego pragnę, by dokładna jego treść ukazała się w prasie.

SZLACHETNY PRZYKŁAD

Podobno król duński Chrystjan oświadczył, że gdyby Niemcy wprowadzili dla Żydów w Danji przymus noszenia złotych łan, on i jego rodzina będą je również nosić.

W swoim czasie w Paryżu, biskup sufragan Chaptal, dziś już nieżyjący, nie tylko obiecał, że tak postąpi, ale i w czyn tę obietnicę wprowadził.

AUTENTYCZNE

Na drzwiach nowojorskiej apteki wisi kartka z następującym ogłoszeniem: "Poszukuje się kelnera-bufetowego. Na cały dzień lub pół dnia. Z doświadczeniem lub bez. Mężczyznę lub kobietę."

Ktoś złośliwy dopisał: "Żywego lub umarłego".

Do starszego pana na Piątej Avenue zbliża się kilkuletni malec.

— Widzi pan, ci chłopcy czekają na mnie i chcą mnie zbić. Czy mógłby pan mnie konwojować do Trzeciej Avenue?

COMBINED OPERATIONS

Lotnik niemiecki, stracony nad Londynem, dostał się do szpitala. Mimo jednak dość ciężkich obrażeń, zwymyślał lekarzy angielskich a nawet silnie odepchnął pielęgniarke, która mu chciała poprawić poduszkę. Z wysiłku jednak zemdlał.

NAUCZKA

Gdy po chwili przyszedł do siebie i odzyskał przytomność, znów zaczął się rżać i zażądał niemieckiego lekarza. Nato londyński lekarz uśmiechnął się jowialnie:

— Możebys się nareszcie uspokoił młodzieńcze. Zwłaszcza teraz, gdy masz kilka dobrych kwart krwi żydowskiej w swoich żyłach.



(Do artykułu Czuwary na str. 3ej.)

Pomnik H. Modrzejewskiej w parku miejskim Anaheim, Calif. Przy książce zrobionej z białych i czerwonych róż, z napisem: "Tow. Czytelnia Polska, Gr. 700 Z. N. P.", stoi p. L. Opid, bratanek artystki.



(Do artykułu Czuwary na str. 3ej.)

Tylna strona pomnika H. Modrzejewskiej. Postacie na cokole oznaczają robotników pracujących na farmie Modrzejewskiej. Na lewo stoi p. W. Rydzka, chrześna matka okrętu SS. I. J. Paderewski, na prawo p. Bron. Koshade, ofiarodawczyni różnych pamiątek po Modrzejewskiej dla Muzeum Z. N. P., Archiwum i Muzeum Polonii, oraz "The Folger Shakespeare Library" w Washington, D. C.



(Do artykułu Czuwary na str. 3ej.) Zdjęcie zrobione w dniu odsłonięcia pomnika. Od lewej do prawej L. Opid, bratanek Modrzejewskiej, Feliks Modrzejewski wnuk i Rudolf Modrzejewski prawnik.

"TYGODNIK POLSKI" na stacji W H O M W KAŻDĄ SOBOTĘ O GODZ. 5.00 — 5.15 odbywa się A U D Y C J A Literacko-Artystyczna z udziałem ARTYSTÓW I PISARZY zgrupowanych naokoło "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Otwarte od 11ej do 5ej godziny cały tydzień oprócz soboty

DANUTA GOWNS poleca W WYBOROWYM GATUNKU A TANIE: POŃCZOCHY BLUZKI BIELIZNE 515 Madison Avenue 53 Street Entrance Suite 1802 18th floor Telefon PLaza 8-2466

KUPUJCIE ZNACZKI

BONDY WOJENNE

UNION PARTS MFG. CO., INC. IGNACY, PAWEŁ i MIECZYSLAW NURKIEWICZ, Właściciele 175 Ashland Place Brooklyn, N. Y. Tel. TR 5-9811

FIVE DAY WONDER COURSE

Od poniedziałku do piątku — po dwie godziny dziennie. — Rano, popołudniu lub wieczorem. — Nauka pielęgnowania twarzy i ciała. — Jak się należy czesać. — Jak się ubierać, by wyglądać skromnie i elegancko.

Telefonujcie lub piszcie: HELENA RUBINSTEIN 715 — 5ta AVENUE New York City Tel. Eldorado 5-2100

Wysilek wszystkich lojalnych Amerykanów, niezależnie od ich pochodzenia, skierowany jest ku przyspieszeniu zwycięstwa Ameryki.

Tylko wspólnymi siłami przywrócimy będzie trwałą pokój na świecie.

W walce o lepsze jutro Stanów Zjednoczonych i Polski walczą Amerykanie polskiego pochodzenia.

Niesiemy im pomoc na froncie domowym — w naszych fabrykach i w naszym codziennym życiu.

ROBACZYNSKI MACH. CORP. OF AMERICA 326 TEN EYCK STREET Brooklyn, N. Y.

POLISH WEEKLY

Editorial Office: 806 Lexington Avenue New York City, 21 Tel. REgent 7-4168

Publishers: Association of Writers from Poland

Editors: Zenon Kosidowski Jan Lechoń Jerzy Tępa Kazimierz Wierzyński

Subscription: Monthly 40 cents Half yearly — \$2.40 Yearly — \$4.50